



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Z wystawy Maryańskiej.



Statua N. Maryi Panny z Dzieciątkiem.

(Rzeźba z drzewa, wykonana p. Wincentego Bogaczyka. Dwie zbroje polskie stalowe z wizerunkami N. Maryi Panny i brązowymi znakami Sodalistów. (Wiek XVII).

Z wystawy Maryańskiej.

Na wstępie do sali Muzeum Przemysłu i handlu, w których urządzono wystawę Maryańską, uderza oko widza ogromna statua Matki Boskiej, wyrzeźbiona z drzewa przez Wincentego Bogaczyka. Koło niej z obu stron stoją dwie wspaniałe zbroje hussarskie z XVII w. (własność malarza Strzaleckiego) ze znakami Sodalisów i krzyżami kawalerskimi.

Grupa ta sprawia bardzo silne wrażenie i jest jakby symbolem czci, którą przez długi szereg wieków żywią wszystkie warstwy naszego narodu dla Bogarodzicy.

Nie będziemy opisywali mnóstwa pamiątek historycznych i zabytków sztuki, zebranych na wystawie, nadmieniamy tylko dla wiadomości czytelników naszych, którzy nie mogli jej zwiedzić, że wystawa składa się z 8-iu głównych działów:

1) Aparaty i naczynia kościelne, wśród których odznaczają się wspaniałe kielichy i monstrancye, poczynawszy od końca XIII w.

2) Przedmioty nabożeństwa,

3) Zbroje i orderzy z wizerunkiem Matki Boskiej,

4) Rzeźby,

5) Obrazy,

6) Ryciny i fotografie,

7) Medale, medaliki, monety i pieczęcie,

8) Książki i dokumenty.

Każdy z działów posiada wielką doniosłość dla historii naszej kultury, związanej silnie z wiarą, a niektóre dokumenty, jak np. autentyczny list gen. Millera do ks. Kordeckiego — jest podwójnie cennym zabytkiem.

Kto jeszcze nie zwiedził tej wystawy — niech więc pośpiesza.



Z. Morawska.



Przygody Imć Pana Mikołaja.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

Nie łykał też nic więcej, bo chociaż go zapraszano, żeby sięgnął do otwartej kbiałki, dziękował za uprzejmość i biegł myślą do onej chwili, kiedy po pogrzebie s. p. pani Rejowej rozmawiali sobie z Elżbietką onego jesiennego wieczora i kiedy nie zdążył jej wytłumaczyć,

że nie koniecznie trzeba zostać księdzem, chcąc być uczonym...

A Mikołaj jakby przeczuwał jego myśli, zawołał:

— A cóż tak krążysz, jako lis koło kurnika, a o Elżbietkę nie pytasz?

Chudзина nie zdążył jeszcze nic odpowiedzieć, gdy Mikołaj dorzucił:

— Toć słyszę do klasztoru ma wielką inklinację.

— Jako żywo, nie o tem nie słyszałem, — przerwał Paciora.

— Ba, nie wielkie rzeczy, że waść nie słyszał, — mówił Mikołaj z pewnem lekceważeniem, — ale wiem dokładnie, bo mówiła o tem ze stryjem proboszczem.

— Nie może być — nie może być! — powtarzał Paciora. Żal mu bowiem było stracić ulubioną przez wszystkich Elżbietkę.

Chudзина też spuścił głowę — i westchnął, ale stanowcze zaprzeczenie Paciory jakoś mu dodało otuchy.

Myślał też sobie:

— Skąd ten Mikołaj może wiedzieć, — przecie od czasu, jak go odwiózł, nie widział się ze stryjem, a wtedy nie miał czasu na rozmowę o Elżbietce...

Więc otrząsnął się ze swego smutku i stanowczym głosem zawołał:

— Ani panna Elżbieta zakonnica, ani ja księdzem nie ostanę, nie mamy powołania.

I skłoniwszy się Paciorze skierował się do wyjścia.

Ale Mikołaj oblał go wpół i zawołał:

— Niechże cię uściskam Jasku kochany, raz przecie przyszedłeś do rozumu, kiedy te utrapione księgi chcesz rzucić.

— Gotówem wyprawić ci wesele z Elżbietką, a nawet i jaką wioszczynę w dzierżawę u tatula dobrodzieja wykreć, dodał, nie wypuszczając z objęć przyjaciela.

Chudзина był tak tym dowodem czułości przejęty i tak poweselało mu od razu w duszy, że nawet nie tłumaczył mu, iż ksiąg ni nauki wcale rzucać nie myśli, jeno za uścisk oddał mu uściskiem.

— Na zadatek onego wesela napijmy się choć tego specyału, kiedy niema nic lepszego, — zawołał Mikołaj, pociągając ze skórzni i nachylając ją Chudzinie.

Ten jak każdą flaszkę tak i worek odsunął, ale Mikołaj zawołał:

— Toć nie piwo ni miód, jeno jakiś napitek z owoców...

I gwałtem skórznię do ust jego nachylił.

— A może tam Elżbietka i lubczyku dała, — mówił, mrugając okiem.

Paciora, patrząc na młodych, śmiał się i opowiadaniem o Nagłowicach jeszcze ich do większych żartów i śmiechu pobudzał.

Aż w końcu rzekł:

— Takeście w kobiałce utonęli, że imć Mikołaj nawet o konie, com je przyprowadził, nie pyta.

— Ba, wiem ci, że tatulo dobrodziej najprzedniejsze chyba ze swojej stadniny przysłał, — odrzekł wtedy.

— Że najprzedniejsze, ani słowa, — lepszych, ba, nawet równych w całej stajni wo-

ewodzińskiej nie znajdziesz. Bo to szyja jak u łabędzia, — oczy sokole, zęby jak perły, pierś jak damasceńska zbroja, — nóżki cienkie, a mocne jak u szybkobiegacza, — grzbiet, że możesz nań nie tylko wiaść bez siodła, ale położyć się i przespać, — mówił zapalając się Paciora.

— Dzień cały bez odpoczynku możesz na nim jechać i nie poczujesz.

— Nie tak jak na tej szkapie, na której przyjechałeś, dodał z lekceważeniem.

Mikołaj w tej chwili przypomniał sobie, co tylko odbył podróż, a co za tem idzie i wszystkie okoliczności jej towarzyszące, aż do sprawozdania, jakie przed panami czynił i listu, który mu wojewoda polecił.

Wstał też, jak gdyby go co ukąsiło i wparzył się w słabo płonący ogień na kominie.

— Powiem mu, co mi kazał powtórzyć przeor i niech pisze w tej materii, kiedy taki mądry — myślał sobie, chcąc całą pracę złożyć na barki Chudziny.

Wtem przyszły mu na myśl słowa przeora.

— Powtórzysz jeno samemu wojewodzie lub tym, którym on każe.

Przypomniało mu się również, iż odpowiedział, że wie jak powinien wysłaniec w ważnej sprawie postąpić.

Przyrodzone wszakże lenistwo znów mu szepnęło:

— Chudzina nikomu nie powie.

— A coś przyrzekł? — mówił mu głos inny.

— Cicho, ty natrętniku! — zawołał na pół głośno, tupiąc nogą.

— Cicho ty przechero! — odpowiedział sam sobie, tupiąc drugą nogą.

I zaczął jak zwykle rozmowę z sobą prowadzić.

— Lepiejbyś waćpan oto z nami niż sam z sobą dyskurs prowadził, — ozwał się Paciora.

— Co? — spytał Mikołaj.

I zaczerwienił się, sądząc, że z czemś niezbędnym się wygadał.

Chudzina spojrzał na Paciorę i uśmiechnęli się porozumiewająco.

— Pójdź waćpan, może tu jeszcze co dobrego znajdzie się w kobiałce, — rzekłzydent z Nagłowic.

— Ii... nie mam już ochoty, — odrzekł Mikołaj.

Zerknął wszakże w głąb kobiałki.

Ale od sięgnięcia wstrzymał się jakoś mówiąc.

— Zmachałem się drogą, a też i praca mnie czeka.

I wyciągnął ramiona szeroko, jak człek, który chce nadać równowagę znużonym członkom.

Więc Chudzina wstał, mając się ku odejściu.

— Poczekaajno, chcę cię o coś poprosić... — rzekł wahająco Mikołaj.

Jasiek zwrócił nań wzrok pytający.

Ale Mikołaj mrugnął okiem i rzekł wymijająco:

— Eh, to już nie dziś, — może kiedy indziej.

I podał mu rękę na pożegnanie.

Poczem zrzuciwszy najparadniejszy swój żałobny kontusz, w którym panom się przedstawiał, nic już nie mówiąc, śpiesznie do snu się ułożył.

XVIII.

Jak sobie młody Rej w wielkim kłopotcie radził.

Imć Paciora, pozbierawszy sumiennie resztki podróжных zapasów, legł obok Mikołaja na twardym tapczanie, jakie na dworze wojewody dworskim dawano. Przybyło też i kilku innych towarzyszy, którzy z Mikołajem izbę dzielili, a którzy się jakoś nieco dłużej zabaraszkowali.

Wszyscy wkrótce zasnęli, jakby makiem posiał, ale mimo snu, spokoju w izbie nie było.

Wielu bowiem chrapało, wydając muzykę wielce głośną i wielce niesforną.

Czy zaś ta muzyka, czy inna jaka przychodziła tak na Mikołaja podziałała, że przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć.

Rozkaz bowiem j. wielmożnego wojewody i rozmowa panów kołatały mu się wciąż po głowie jak dusze pokutujące.

— Napisz koncept w tej materii... dzwoniło mu w uszach.

— Licho wie, co za materya... przecie jak umiem, takbym napisał, jeno nie po łacinie... — myślał sobie.

Tak myśląc, drzemał po trochu, ale wtem półśnie wciąż ów nieszczęsny list po głowie mu chodził.

— Głupstwo, — szepnął sobie i przewróciwszy się, z wielką determinacją postanowił zasnąć.

Lecz przewracając się popchnął tak silnie Paciorę, że ten aż jęknął, a chcąc tę napaść odeprzeć, machnął znów tak silnie przez sen ręką, aż skwierczki w oczach trapienemu bezsennością Mikołajowi stanęły.

Ale czy ten odwet imć Paciora, czy też znużenie w końcu przemogło, dość, że zasnął, dodając do muzyki towarzyszy potężne sapanie, coś naksztalt miecha kowalskiego.

A spał tak twardo, że nie słyszał wcale, gdy inni wstali i leniwy dzień jesienny począł otwierać oczy.

Nie słyszał też ani odmawianych półgłosem pacierzy przez Paciorę, ani rozmowy towarzyszy i pluskania wody przy myciu, do którego łączyło się pryhanie, jakby młodych żrebców, wyskakujących na łące.

Aż jeden z nich zniecierpliwiony zbyt długim snem Mikołaja, plusnął mu na twarz wodą z całej siły.

Ten otrząsnął się, machnął ręką, jakby chciał utrapioną muchę odegnąć i naciągnawszy na głowę wełnianą derkę, którą był okryty, zabierał się w dalszym ciągu do snu błogiego.

Ale rozbawieni towarzysze nie zwracali uwagi na tę jego chętkę, owszem, owinęli go w derkę i chwyciwszy za głowę i nogi wśród śmiechów i śpiewu podrzucili kilka razy do góry, a potem położyli na ziemi, wrzeszcząc z całej siły:

Luli, luli Mikołaju,

Będzie ci tu, jako w rajul

Lecz Mikołaj, nieukołysany jakoś tą pieśnią, wyswobodził się z krępującej go derki

i rozszerzywszy swe żyłaste ramiona, gotował się do dania im porządnego odwetu.

Schwycił już nawet najbliższego stojącego w swe potężne ramiona, w tem jakby sobie nagle coś przypomniał, zamiast go poturbować, objął za szyję, wołając:

— Niechże cię uściskam, bracie kochany, żeś mnie obudził.

Puściwszy zaś jednego, każdemu podobne dziękczynienie składał, nie wyłączając imię Paciora.

Towarzysze, myśląc, że to jakiś figiel, ku ich pokonaniu wymyślony, mieli się na ostrożności, zdziwili się też nie mało, gdy Mikołaj wyściskawszy wszystkich po kolei, zabrał się najspokojniej do mycia.

Aż nagle do najbliższego stojącego zawołał:

— Wylej mi całe wiadro wody na głowę. I schylił się stosownie.

Zawezwany z wielką nieufnością ale i z wielkiem zadowoleniem spełnił żądanie, inni patrzyli na niego, będąc pewni, że to podejszcie do nowego figla. Tymczasem Mikołaj wytarłszy się po tej nader chłodnej kąpieli, szybko się odział i nic nie mówiąc, jeszcze szybciej wybiegł, nie zamknawszy nawet drzwi za sobą.

— Ten wartogłów zimno nam jeno wpuszczą, — burknął Paciora, brodząc po rozlanej wodzie i poprawiając skąpy ogień na kominie.

— No, no, sprawi on nam jeszcze gorąco, — ozwał się któryś z młodzieży, patrząc porozumiewająco na innych.

— Że sprawi, to sprawi! dodał uśmiechając się drugi.

— Układa sobie nowego figla, kiedy tak milczy — dorzucił inny.

A Mikołaj pobiegł szybko do pana Nikodema Psarskiego, sekretarza. wielmożnego wojewody i uchyliwszy delikatnie drzwi zapytał:

— Imć pan sekretarz pozwoli mi do siebie.

— A kogoż tam lichy niesie, — burknął pan Nikodem w miejsce odpowiedzi.

Nie zraziło to wszakże młodzieńca, wszedł, a raczej wsunął się delikatnie i kłaniając się, rzekł:

— Mam prośbę albo nawet i wielką prośbę do imć pana sekretarza.

Pan Nikodem z zarzuconym na plecy wełnianym tołubkiem z głową owiniętą białą chustą, bez najmniejszego zarostu podobniejszym był do starej niewiasty, niż do sekretarza.

Uśmiechnął się też Mikołaj i miał wielką ochotę zapytać:

— Zali nie jejmość panią sekretarzową, miasto pana sekretarza widzę przed sobą.

Powstrzymał wszakże i uśmiech i pytanie, tem więcej, że pan Nikodem swoim grubym głosem, nie licującym z jego drobną, małą postacią ozwał się żartobliwie.

— Gadał, gadał, bo nim się waszeć wypowie, z prośbeczką urośnie taka prośba, że się w moich uszach nie zmieści.

I spojrzawszy drobnymi oczkami, rozgarnął tołubek i obróciwszy się tyłem do komina począł wygrzewać się przy płonącym ogniu.

— Więc, więc prośbeczka, jakbym był j. wielmożnym wojewodą? — pytał Psarski.

(d. c. n.)

O ZACHODZIE.

Gdybyś ty, słonko, wiedziało,
Ile srebrzystej rosy
Padnie z tęsknicy za tobą
Na łąki, pola, na wrzosa...

Gdybyś ty, słonko, wiedziało,
Jak mdleją z żalu wód fale,
Jak się pastusza ligawka
Tęsknotą niesie hen... w dale...

Jak wierzby szumią żałośnie,
Jak szemrze nadwodna trzcina,
Jak wiotkie wyciąga ramię
Ku twym zachodom wiklina.

Jakie to smutki się włóczą
Przez łąk srebrzystych bajorze,
Jak słowik śpiewa żałośnie
W tym gęstym, sosnowym borze.

Gdybyś ty, słonko, wiedziało,
Jak ziemia nocami płacze,
Nie kryłobyś się z wieczora,
Rzuciło życie tułacz.

Janina Porazińska.



Gospodarstwo mrówek.

WSTĘP.

Taksonomia, czyli uszykowanie zwierząt w skupienia według cech morfologicznych, ¹⁾— mówi St. Kluczycki — wstawia mrówki do typu członkonogich, a tu zalicza je do gromady owadów, gdzie należą do rzędu błonkówek. W tym rzędzie są mrówki pokrewnemi rodziny żądłówek i stanowią rodzaj owadów mrówkowatych (Formicidae), rozpadający się na liczne gatunki. Takie to stanowisko rodowe zajmują mrówki w królestwie zwierząt.

Po tem, ceremonialnem przedstawieniu możemy z mrówkami zabrać bliższą znajomość. Znamy je z widzenia, bo chodząc po lesie spotykaliśmy się nieraz z kopczykiem pełnym naszych mrówek, zwanych rudnice albo czerwienice i berki (Formica rufa).

Drobnosć i ruchliwość mrówek była jednak powodem, żeśmy się im nigdy dobrze przypatrzyć nie mogli; odnosiliśmy tylko wrażenie, że mamy przed sobą nikłe, gładkie, jednolicie

¹⁾ Dzieło p. t. «Mrówki».

B. BUYNO.

CZARNE JAGODY.

Susza panowała i upał, więc czarnych jagód mało. I te, co były, nie dojrzewały, tylko usychały na krzakach. Były też drogie.

Jaś, mieszkający w mieście, otoczonem dużymi lasami, pewnej soboty, wyrobił sobie wolne popołudnie i wybrał się na jagody, wzięwszy za towarzysza pioska, Milka. Chciał nabyć jagód na sprzedaż, bo potrzeba mu było bardzo pieniędzy dla kochanej siostrzyczki, Ludki, która po ciężkiej gorączce nie mogła odzyskać sił.

Wiedział o jednym miejscu, gdzie jagody rosły gęsto, a że to było w głębi lasu, spacerowicze z miasta tam się nie zapuszczali. Tylko bieda, że do tego miejsca tak bardzo daleko! Jasia bolały nogi, ale czego nie przemoże silna wola?

Lecz i tam czekał biednego chłopca zawód. Uprzedzili go inni! Oprócz zdeptanych jagodzin, nie było nic do zbierania... Jaś był tak zgnębiony, że... proszę, nie śmiecie się z niego!... aż zapłakał, pomimo swoich lat dwunastu...

Nieopodal tego miejsca rozłożyło się wesołe gronko dzieci, które tego dnia wybrało się do lasu. Wybrało się z ciastkami, kawą i mlekiem: zła dola Jasia zaprowadziła dzieci aż tam, gdzie obficie rosły czarne jagody, któ-



Widzieli poszukiwania Jasia...

Doktor kazał jej jeść mięso i jajka, ale to dla ubogiej matki było wielkim wydatkiem, Jaś oddawał jej każdy grosz, jaki zarabiał, odmawiając sobie wszystkiego, byleby Ludka miała to, czego potrzebowała dla zdrowia.

Ale tej soboty jakos mu się nie wiodło. Gdzie przyszedł, nie znajdował jagód, chyba zupełnie niedojrzałe. Widocznie byli tu przed nim inni, którzy wszystko wyzbierali... Gniewnie gdzieś zaledwie czerniała jagódka, której poprzednicy nie dopatryli. Jaś chodził i chodził parę godzin, zszedł niejedną wiorstę i nabył ledwie ćwierć koszyka!

re dodały jeszcze wspaniałości podwieczorkowi. Teraz, po nasyceniu głodu wesołe towarzystwo wypoczywało, a że wszyscy mieli dobre oczy, widzieli dokładnie poszukiwania Jasia, a potem zobaczyli, że taki zgnębiony.

— Czemu on taki smutny? — zapytała Anielka zaniepokojona.

— Trzeba się go zapytać! — wykrzyknął Henryczek.

— Ale czy powie? — dodał, powątpiewająco rozważny Ksawerek.

— Bez zapytania nie dowiemy się nicze-

go! — zawołała rezolutnie Anielka i pobiegła w stronę Jasia.

Piesek Milek zabiegał mu drogę, wywijając ogonkiem, jakgdyby chciał pocieszyć strapionego, ale Jaś, otarłszy oczy, szedł dalej. Przystanął dopiero na wołanie Anielki. Jak się tam oni rozmówili, nie potrafię powiedzieć, dość, że Jaś wyznał przed Anielką powód swojego żalu. Widocznie odczuł dobroć serca dziewczynki i to wzbudziło jego zaufanie..

Anielka powróciła pędem do towarzystwa, wpadłszy z impetem na Henryczka, biegnącego z ciastkiem w ręku, dla pocieszenia zmartwionego. Gdy dzieci dowiedziały się, o co idzie, zawrzało jak w ulu.

— A to myśmy zebrali i zjedli te jagody!

— Zrobiliśmy mu niechcący zawód!

— Któż mógł wiedzieć... nie chcieliśmy przecież!...

Rozważny Ksawerek milczał, a dopiero kiedy się uciszyło, przemówił:

— Jeden jest sposób. Zapłacimy mu za jagody, jak gdyby je zebrał... Cóż to szkodzi, że zapłacimy za nie już po zjedzeniu? Anielka mu to wytłumaczy, żeby się nie obraził. I kupimy także te, które zebrał.

Różne portmonetki i woreczki, czerwone, żółte i zielone, wydobyte z kieszonek, otwarły się z pośpiechem. Jaś, sprowadzony przez Henryczka, wysypał swoje jagody i odszedł, uczęstowany ciastkami, napojony kawą, unosząc oprócz pieniędzy jeszcze trochę przysmaków dla Ludki i głęboką wdzięczność w sercu. Zamiast jagód spotkał dzieci, które obiecały przyjść do sklepu po sprawunki, by dowiedzieć się o zdrowiu siostrzyczki. Kupione od Jasia jagody wydały im się najsmaczniejszemi ze wszystkich, jakie kiedykolwiek jadły.



POZIOMKA.

Mieszkam ja sobie w ślicznej ustroni.
Z mchu mam pościółkę zieloną;
Wysoka sosna od burz mię chroni
Swą rozłożystą koroną.
Jak tu wesoło! Ptaszęce chóry
Gwarzą, śpiewają dzień cały.
Ptaszki się mogą wzbijać pod chmury,
Wiele więc w świecie widziały.
Jużto najpiękniej ptaszki szczebiocą
I najrozkoszniej jest w lesie

Każdego ranka albo przed nocą,
Gdy piosnki w niebo wiatr niesie.
Słyszysz je pewnie Pan, co jest w niebie,
Bo mi mówiły ptaszęta,
Że on o każdej stworzeń potrzebie
Choć najdrobniejszych pamięta;
Że On jest dobry, hojny bez miary,
Że On tą dłonią Swą własną
Daru udzielił nad wszystkie dary:
Słonka, co świeci tak jasno.
Ja kocham słonko kocham ogromnie!
Ono wszystkiego ciekawe,
Jasne promyczki śle tutaj do mnie
Przez mech i leśną murawę.
Kiedy się mroczne rozjaśnia cienie,
W lesie promyczek gdy gości,
Zaraz wesoło; ja się rumienię
Z radości!

Janina Chlewicka.



CZARODZIEJSKI BÓR

Fantastyczny obrazek sceniczny w I-ej odsłonie.

(Ciąg dalszy.)

SCENA VII.

Ciż i Wilcy.

Wilcy. Au-au-au-au!

Wilk przewodnik. Węszę sarni ślad! Hej, bracie dalej za mną, a prędko!

Motyl. Jaśnie oświeceni, prześwietni panowie, raccie się zatrzymać.

Wilk przewodnik. Co powiesz, ślicznotko?

Motyl. Panie przewodniku, katar musi dreńczy waszą dostojność, gdyż ślad sarni w inną stronę powinien skierować jego kroki. Przed chwilą widziałem piękną sarenkę mknącą tędy na lewo (wskazuje przeciwną stronę tej, w którą uddała się sarenka).

Świerszcz. Napewno pobiegła koło rzeczki napić się wody troszeczki, tam też grusza stoi olbrzybia, a co pięknych na niej owoców, oj, i pożywić się mogą tam państwo wspaniale.

Wilk bury. Śpieszmy! sarny na obiad, gruszki na wety! Królewska uczta nas czeka.

Wilcy. Królewska uczta! Au-au-au! (wybiegają).

zabarwione i jakby sztywne stworzenia, które tylko nadzwyczajną szybkością ruchów swych nóżek nadrabiają. Mając je atoli teraz w domu przed sobą w wizerunku naturalnej wielkości, w mocnym, dwukrotnem a nawet pięciokrotnem powiększeniu, możemy się przekonać, iż



Główki mrówek Mrówka
w powiększeniu.

to pierwsze wrażenie o budowie ich ciała jest wcale nietrafne, osobiwie jeżeli popatrzymy na istotną mrówkę podłożoną pod jaki taki mikroskop.

Wierzchnia sukienka mrówek nie jest bowiem miękką skórka, lecz owszem szkieletem, bo one kości nie mają. Jak u raka szkielet ten utworzony z węglanu wapniowego stanowi pancerz, ochraniający jego ciało, tak szkielet pokryciowy mrówek jest z chytyny, to jest z tworzywa, nadającego ustrojowi mrówki tęgosci i twardości, przyczyniającej się do utrwalenia i ochrony ustroju: szkielet ten, który jest dla mrówki stosunkowo twardym pancerzem, zawiera wewnątrz wszystkie mięśnie, przyczepione do niego za pośrednictwem miękkiego pokładu komórkowego, i życiowe organa mrówki. Otóż tak bardzo nikłym nie jest to stworzenie, skoro objęte jest zewsząd chitynowym pancerzem.

Powierzchnia ciała u mrówek nie jest gładka, bo ciało jej nosi w różnych miejscach pewne przysadki, kolce i szczecinki, a nawet w różnej mierze obfite lub ubogie orzęsienie, a u niektórych gatunków nawet owłosienie.

Każdy gatunek ma nieco odmienne zabarwienie. Lecz i to nie jest jednolite, bo za pomocą mikroskopu można wyróżnić, iż każda część ciała bywa odmiennego koloru, osobiwie odnóża i owłosienie.

Rzekoma sztywność ciała mrówki jest tylko pozorną, bo mrówka zwykle trzyma się „prosto.” Atoli mając głowę na szyi, tułów środkowy cienkim stylikiem połączony z odwłokiem, i odwłok składający z sześciu, u samców z siedmiu obrączek, może mrówka wedle potrzeby wykonywać różne ruchy temi częściami ciała, może zwracać głowę na wszystkie strony, przeginać się w pasie i zwinąć się nawet w kłębek.

U głowy widzimy już nieuzbrojonym okiem czułki, nadzwyczaj ruchliwe i zwrotne. Składają się one z trzonka, z kilku lub nawet kilku-

nastu prątków i z wierzchołka, zwanego *Apex*. Prątków, to jest członków u czułka, bywa od 4 do 13, a od osady trzonka bieży do tyłowi głowy mniej więcej długi rowek, w którym układa się trzonet czułka w stanie spokoju.

Czulki mrówek nie są li tylko ozdobą, lecz bardzo ważnym dla mrówki organem. Mrówka z odciętymi czułkami jest już do niczego, bo nie umie już rozróżnić swego od obcego, przyjaciela od nieprzyjaciela; nie umie znaleźć swej drogi, a nawet pożywienia chociażby w pobliżu leżącego, i nie trudni się w domu ani budowaniem mieszkania ani pielęgnowaniem mrówczego przychówku.

Pod mikroskopem możemy wyróżnić na przodzie głowy narzędzia pyszczkowe (mandibula) to jest czelusć gęby i szczęki.

Do oddychania służą wałkowate cewki powietrzne, zwane tchawkami, wewnątrz ciała umieszczone.

Oprócz narzędzi pyszczkowych widzimy pod mikroskopem na głowie oczy, które są osobiwością dlatego, że bywa ich — zamiast zwykłej pary — aż pięć.

Za pomocą szyi łączy się głowa z tułowiem, który u mrówki przedstawia pierś (sternum) i plecy (notum), — bo żołądek i inne życiowe narządy umieszczone są w odwłoku. Tułów składa się z trzech łuków i bocznych wstawek, które te łuki ze sobą wiążą i prawie niewzruszenie.

Śródplecze nosi przednią parę skrzydeł u tych mrówek, które je mają, a druga para skrzydeł przytwierdzona jest do zaplecza. Jedna para nóg wyrasta z przedpiersia, druga z śródpiersia, a trzecia z zapiersia. Skrzydła mrówcze — to nie orle skrzydła. Są to nikłe błonki, rozpięte na bardzo ubogim siatkowaniu, zresztą osadzone w panewkach tak wiotko, że się z łatwością — i jak się zdaje bez bólu dla mrówki — ze stawu wywinąć i odkręcić dają.

Możemy tedy zapamiętać, że mrówki mają zawsze po trzy pary nóg — i jeżeli je mają — po dwie pary skrzydeł, jak to jest — mianowicie co do nóg — cechą wszystkich owadów. Mimochodem możemy jednak zaznaczyć, że w dalekiej epoce formacji węgla żyły także owady, które od owadów naszych czasów różniły się tem, iż nosiły cechy takie jakie okazują nasze owady będące w niedoskonałym stanie, a szczególnie tem, iż znajdowały się między niemi osobniki o trzech parach nóg — i także o trzech parach skrzydeł, takich owadów obecnie już nie ma na świecie. Zresztą były to owady zupełnie inne aniżeli owady obecnie żyjące, i wogóle nie mrówki, które już wtedy miały — obok trzech par nóg — tylko dwie pary skrzydeł.

Nogi mrówek mają stopę z pięciu palców utworzoną, której spód jest podeszwą. Każda nóżka opatrzona jest nadto dwoma silnymi pazurkami. Przednie nóżki są dla mrówki tem, czem są dla nas ręce: utraciwszy je przypadkiem staje się mrówka nieudolną kaleką, bo nie ma czem grzebać ani budować, i wogóle pracować; staje się brudasem, bo niema się czem ucieszać, umyć i oczyścić.

Mrówki żyją w społecznościach, które są z wielu względów bardzo ciekawe. Ciekawą rzeczą i osobliwością w pierwszym rzędzie jest, że w mrówczych społecznościach nie masz ani króla ani pana, nawet jednej królowej zwanej matką, jak w każdym ulu pszczół, bo to co niektórzy przyrodnicy zowią królową mrówczą, jest po prostu matką, ale w mrowisku bywa ich czasem bardzo mało, a czasem bardzo wielka liczba.



Zamek Rapperswilski. (p. str. 337).

Odwłok składa się z 6 lub 7 obrączek, z których pierwsza zachodzi na następną jakby dachówka, i tak do końca jedna na drugą; to też może się wzdłuż i wszerz kurczyć i rozciągać. Odwłok zawiera, oprócz innych narządów życiowych, także żołądek mrówczy, który się składa z dwóch dużych komór. Z tych jedna służy, podobnie jak wole u ptaka, jako zbiornik żywności, i będąc wspólną własnością mrówek, które stamtąd jak z szafarni biorą swój udział, — a tylko druga komórka służy do osobistego użytku mrówki.

Już Salomonowe przypowieści (VI. 6. 7. 8.) wspominają: „Idź do mrówki leniwce! obacz drogi jej, a nabądź mądrości; która choć nie ma wodza, ani przełożonego, ani pana, przecie w lecie gotuje pokarm swój, a zgromadza w zniwa żywność swoją“.

Pomimo tego „bezkrólewia“ nie jest społeczność mrówek i rzeczapośrednią, przynajmniej nie w znaczeniu naszych czasów, bo mrówki nie znają wyborów, ani prezydenta.

Owszem — państewka mrówcze są to odosobnione gminy samych robotników. Wpraw-

dzie gromada mrówcza obejmuje czasowo jakby trzy stany: skrzydlate rodzaju męskiego i żeńskiego i robotnice, którym nigdy nie wyrastają skrzydła; ale pierwsze dwa stany mają ściśle określone zadanie, które spełniając lub spełniwszy, nie mają więcej nic do zrobienia.

Czasem wyróżniają się z gminu robotników i to częściej w sferach gorących niżeli w umiarkowanych, przez swoją okazalszą postać i znacznie większy łeb, a więc i przez silniejsze szczęki, nieliczne osobniki jakoby odrębny czwarty stan, miano ich za stan rycerski, za wojowników i żołnierzy, przeznaczonych na obronę gminy. Ale bliższe rozpatrzenie okazało, że są to raczej policyanci lub żandarmi, którzy podczas pochodów mrówczych utrzymują porządek i służą jako patrole bezpieczeństwa a więcej jako ordynanse, pośredniczące w porozumiewaniu się różnych części karawany.

Skutkiem życia społecznego mrówki nie mieszkają pojedynczo lub parami, ale zawsze w wielkich zbiorowiskach, w osadach zwanych mrowiskami, o których z kolei pomówimy.

(d. c. n.)



Król Przestrzeni.



Ostatnia powieść **Juliusza Verne'a.**

Przekład M. F.



(Ciąg dalszy.)

Na los szczęścia Harry Horn skierował się do wąwozu. Kręta ścieżyna prowadziła zboczem stromych skał, gęsto zarośniętych iglastymi krzewami o listowiu czarniawym, szerokimi paprociami i dzikimi porzeczkami, przez które trudno się było przedzierać.

Całe chmary ptactwa zaludniały ten gęszcz leśny. Najhałaśliwiej krzyczały papugi, ostrym głosem rozdzierając powietrze. Zaledwie można było dosłyszeć skrzeczenie wiewiórek, chociaż setki ich przemykały się wśród krzewów. Środkiem wąwozu wił się fantastycznie potok, który wbiegał w porze deszczów i burz, tworząc liczne kaskady.

Po upływie pół godziny wąwóz stał się tak trudny do przebycia, że trzeba było nieustannie zbaczać ze ścieżki. Często noga nie znajdowała dostatecznego punktu oparcia. Musieliśmy się czepiać rękami traw i czołgać na kolanach.

-- Do licha! — zawołał pan Smith, oddychając

z trudem — nie dziwię się bynajmniej, że turyści omijają Great-Eyry.

— Mybyśmy też tam nie poszli, gdyby nie powody specjalne — zauważyłem.

— Byłem nieraz na Black-Dowe, — wtracił Harry Horn, lecz nigdzie nie napotkałem takich trudności.

— Byleby się te trudności nie zamieniły na przeszkody, uniemożliwiające wyprawę! — zakończył rozmowę James Bruck.

Przedewszystkiem należało rozstrzygnąć kwestię, czy mamy się zwrócić na lewo, czy też na



— Do krocset! — zawołał p. Smith, — więc nie wdramy się nigdy na ten przeklęty szczyt.

prawo. I tu i tam wznosiły się gęste lasy i krzewy. Więc trzeba było iść na ślepo, mając jedną tylko wskazówkę a mianowicie, że w górach Niebieskich zbocza wschodnie są prawie niedostępne.

Postanowiliśmy zatem zdać się na instynkt naszych przewodników, przedewszystkiem zaś Jamesa Brucka, który nie ustępował małpom co do zręczności, a kozicom co do zwinności i szybkości.

Spodziewałem się, że mu dorównam, od dzieciństwa bowiem byłem zaprawiony do ćwiczeń fizycznych i gimnastykowałem się stale.

Miałem jednak pewne wątpliwości co do pana Smitha. Mer Morgantonu, starszy ode mnie, wyższego wzrostu i większej tuszy był nierównie słabszy i krok miał mniej pewny. Sapał jak fokka i widocznem było, że podąża za nami z największym wysiłkiem.

Prawie na początku drogi zrozumieliśmy, że wejście na Great-Eyry zabierze nam więcej czasu, niż przypuszczaliśmy wczoraj. Około godziny dziesiątej, po wielokrotnych próbach znalezienia ścieżki dostępnej, po licznych zbroczeniach i cofaniach się dotarliśmy wreszcie do skraju lasu.

Oczom naszym ukazały się pierwsze turnie Great-Eyry. Przewodnicy się zatrzymali.

— Nareszcie! — westchnął pan Smith, opierając się o pień latanii. — Należy nam się posiłek i trochę wypoczynku!

— Co najmniej godzinę! — zawołałem.

— Tak, tak... dotąd pracowały nasze płuca i nogi, teraz kolej na żołądek!

Nie było dwu zdań w tym względzie. Strudzone siły domagały się pokrzepienia. Obnażona stroma ściana Great-Eyry, na której nie widać było ani śladu ścieżki, obudzała w nas pewien niepokój. Harry Horn potrząsnął głową z powątpiewaniem:

— Może być całkiem niemożliwą — odparł James Bruck.

Uwaga jego rozniewała mnie mocno. Jako? Więc moglibyśmy nie dotrzeć wcale do szczytu Great-Eyry? Byłoby to przecież najzupełniejsze niepowodzenie mej misji. Z jakąż miną stanąlbym wtedy przed panem Wardem, nie mówiąc już nic o ciekawości niezaspokojonej!

Otworzyliśmy torby podróżne, posililiśmy się zimnem mięsem i chlebem. Piliśmy bardzo umiarkowanie. Wypoczynek nasz trwał najwyżej pół godziny. Poczem pan Smith podniósł się pierwszy, nakłaniając nas do pośpiechu.

James Bruck poszedł naprzód, posuwaliśmy się za nim wolno i ostrożnie. Przewodnicy nie ukrywali bynajmniej swego zakłopotania. Harry Horn postanowił wyprzedzić nas i rozejrzeć się wśród miejscowości. Wrócił po upływie minut dwudziestu. Za jego radą obraliśmy kierunek północno-zachodni. Z tej to strony, w odległości trzech czy czterech mil, wznosił się dumnie Black-Dowe. Wiedzieliśmy jednak, że stamtąd nawet przy pomocy najsilniejszej lunety, nie zobaczymy, co się dzieje na Great-Eyry.

Wspinaliśmy się pod górę z wielkim trudem, wązką granią, na której tu i owdzie sterzczały drobne krzaczki lub kępki traw. Uszliśmy najwyżej dwieście kroków, kiedy James Bruck zatrzymał się nagle, wskazując ze zdziwieniem na głęboką koleinę, przerywaną grunt. Nieco dalej dostrzegliśmy powyrywane korzenie, połamane gałęzie, na proch zmiażdżone skały. Rzekł-

byś — obsunęła się w tym miejscu jakaś olbrzymia lawina.

— Tędy, prawdopodobnie, staczał się głaz, który się oberwał z Great-Eyry — zauważył James Bruck.

— Nie ulegą wątpliwości — odparł pan Smith. — Sądę, że zrobimy najlepiej, posuwając się naprzód temi śladami.

Miał słuszność zupełną. Nogi nasze stąpały pewnie, zatrzymując się nieco na zagłębieniach powyszarpowanych przez obsuwającą się skałę. Poszliśmy teraz w kierunku prawie prostopadłym.

O pół do dwunastej dotarliśmy do skraju stromej płaszczyzny. Droga urywała się nagle. Przed nami o sto kroków zaledwie, lecz o sto kroków w górę, sterzczały skaliste ściany, zamykające tajemniczy wierzchołek. Przybierały one fantastyczne kształty igieł, słupów, maczug, potworów. Jedna ze skał przypominała sylwetkę orła z rozpostartymi skrzydłami. Stanowczo od wschodu wejście było niemożliwe.

— Odpocznijmy chwilę! — zaproponował pan Smith — a potem spróbujmy obejść szczyt dokoła.

— Głaz mógł się oberwać tylko z tej strony — zauważył Harry Horn. — Czemuż więc nie widzimy żadnego wyłomu w skałach otaczających wierzchołek?...

Po dziesięciu minutach wypoczynku postanowiliśmy iść dalej. Grunt był ślizgi. Posuwaliśmy się więc bardzo wolno u samej podstawy skał, wysokich na pięćdziesiąt stóp, rozszerzających się u góry i nieco wygiętych poniżej na podobieństwo koszyka. Gdybyśmy więc nawet mieli drabiny i klamry, wejście na szczyt byłoby niemożliwością absolutną. Great-Eyry nabierał w mych oczach zabarwienia czarodziejskiego. Nie zdziwiłbym się bynajmniej, gdyby mi kto powiedział, że zamieszkują tu smoki, chimery i inne potwory mitologiczne.

Obchodziliśmy dokoła muru skalistego, który się zarysowywał tak prawidłowo, jak gdyby był dziełem ręki ludzkiej. Nigdzie żadnego wyłomu, żadnej szczeliny, przez którąby się można przesunąć lub zajrzeć do wewnątrz.

Po upływie półtorej godziny wróciliśmy do miejsca, skąd rozpoczęliśmy naszą wędrówkę obwodową.

Nie mogłem ukryć swego niezadowolenia. Pan Smith zirytowany był niemniej ode mnie.

— Do kroćset dyabłów! — zawołał. — Więc nie dowiemy się nigdy, jaką tajemnicę kryje w swem łonie przeklęty Great-Eyry!

(d. c. n.)



SCENA VIII.

Ciż oprócz Wilków.

Chór (śpiewają). Poszły wilki na ulegalki,
Zapomniały kobiałki
Au! au! au!...

Dudek. Potańczmy trochę z radości, że udało się nam ocalić sarenkę!

Wszyscy (oprócz Czapli i Grzyba). Tańczmy! tańczmy!

Grzyb. Nie czas tańczyć, gdy niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

Sowa. Niech kto biegnie powiedzieć sarence, że najlepiej aby tu wracała, bo pilnować ją możemy.

Motyl. Chętnie polecę (wybiega).

SCENA IX.

Ciż oprócz Motyla.

Grzyb. Świerszczu, grzeczny kawalerze, potrzymaj mi trochę gazety.

Świerszcz (szukając). Gazeta? gdzie gazeta?

Dudek (też szukając). Nie ma! nigdzie nie ma.

Paproć. Szarak zjadł ją w najlepsze, chroniąc się za moje liście.

Grzyb. Ach ten szarak!

Czapla. Tchórz! łakomczuch! skurczypała!

SCENA X.

Ciż, Motyl i Złota sarenka.

Motyl. Niedaleko ubiegła biedna, strudzona, ledwo już idzie.

Złota sarenka (padając na murawę). Cierń głogu wbił mi się w nogę, trzeba wyciągnąć, ojej! jak boli.

Sowa. Niech pani dobrodziejka zbliży się do dziupli, w której znajdują się moje chirurgiczne narzędzia; nogę chętnie jej opatrzę.

Złota sarenka (na stronie). Nie mam czem zapłacić. (Głośno). Dziękuję bardzo, wszyscy tu tacy dobrzy dla mnie w tym borze, nie wiem czem zdołam się odwdziżyć...

Sowa. Bardzo proszę, to bagatela. Włożę tylko okulary (opatruje nogę).

Grzyb. Przed wielu, wielu wiekami w borze tym był moczar wielki, nieprzebyty. Na miejscu tym właśnie, gdzie sobie stoję na jednej nodze utworzyła się mała kępka, tu sarny przed wilczą pogonią schroniły się pierwsze i ukochały to miejsce uczuciem wielkiem i wiecznem, co to przechodzi z rodziców na dzieci, z dzieci na wnuki. Co rano skowronek budził ich ze snu, a wieczorem gołąb biały zbierał wonie kwiatów, szmer strumyka, świegoły ptasząt i niósł je

przed tron Najwyższego, jako codzienną modlitwę wszechrzeczy...

Złota sarenka. O, grzybku kochany, staruszkę czcigodny, jak pięknie opowiadasz nasze dzieje prastare.

Czapla. Baj-że, baję, po zwyczaju! o tym naszym dawnym kraju.

Motyl. Nie lubię dawnych, smutnych dziejów, gdyż zaraz łzy czuję pod powieką, lepiej czytamy wesołe nowinki.

Żaba. Kiedy szarak zjadł gazetę.

Sowa. Wstyd, szaraku, wstyd!

Zając (zmieszany). Nie zjadłem tylko trochę skubnąłem.

Motyl. Ale gołąbka jakoś nie wraca.

Złota sarenka. O, tak jestem niespokojna o siostrę łaciatkę.

Czapla. Granica naszego boru nie jest łatwą do przejścia.

Złota sarenka. O, Boże, sama nie wiem o którą z sióstr mam się więcej niepokoić. Srebrzysta, tak samo jak ja wciąż ucieka przed wilczą pogonią, a Łaciatka w tej ludzkiej niewoli, której dotąd dobrze wyrozumieć nie mogę.

Grzyb. Nigdy nie należy trwożyć się przed czasem.

Złota sarenka. Ale nad sercem zapanować trudno.

Sowa. Najlepsza rada, odwracać myśl w inną stronę. Lecz oto cierń z nóżki już wyjęty.

Złota sarenka. Ślicznie dziękuję. I rada-bym się czem odwdziżyć.

Dudek. Zaproś jego doktorską mość na wesele.

(d. c. n.)

F. Morzycka.

J. PIASECKA.

Dzielny Jędrus.

(Ciąg dalszy).

— Jędrusin, powtórzył, kto napasł Krasulę liśćmi?

— Ja—wyszeptały zbiegłe usta chłopca.

— Ty, skąd je miałeś?

Pytany milczał, tylko pełne pokory oczy podniósł na dziadka.

Ten podszedł bliżej, odebrał łuczywo z ręki wnuka i świszczącym ze wzruszenia głosem powtórzył:

— Skąd je miałeś?

— Ukradłem — wyszeptał tak cicho, że

prędzej słów tych, domyślić się było można niż dosłyszeć.

Dziadkowi krew nabiegła do skroni. Oczy z przerażenia prawie że wyszły na wierzch, wybiegł pośpiesznie z obawy, bo bał się, by silny napływ krwi do mózgu, nie zabił go na miejscu, co może się zdarzyć ze zbytniego wzruszenia osobom podeszłego wieku, a gdy go chłodne powietrze owiało, podniósł z rozpaczą ręce w górę i głośno zapłakał.

— O czemuż dożyłem takiej sromoty i hańby, czemuż zamiast pociechy, wnuk okrywa mnie niesławą. Złodziej! wnuk mój złodziejem.

I powlókł się biedny, złamany starzec do chaty, a gdy w kilka godzin Jędrus, z pewnym już także planem wszedł za nim do chaty, zastał go klęczącego z różańcem w ręku przed krzyżem. Przepraszał pewnie Boga za ten pierwszy, taki wstrętny grzech swego wnuka, a gdy mu ofiarował i ból swój i wstyd, jaki będzie miał przed ludźmi, wstał i rzekł:

— Pierwsze twoje złodziejstwo położyło tamę losowi twemu. Dziś miałeś iść na służbę do dworu, tam spływać miała na ciebie nauka i wszystko dobre, dziś własnymi rękami kres temu położyłeś. Idź i powiedz, żeś złodziej, żeś nie wart ani łaski państwa, ani opieki ani nauki. Ja z czystym sumieniem oddać cię nie mogę, bo kto raz posunie się do takiego niskiego czynu, temu, dopóki się nie poprawi, ufać nie można.

Chłopak z głową spuszczoną, stał jak winowajca. Surowe słowa dziadka wpadały mu w przepelnioną żalem duszę. Czuł, że zasłużył na nie, że gdyby nawet ciężką wyznaczył mu karę, zniósłby ją z pokorą. To też milczał, ani jednego słowa nie wyrzekł na swoją obronę, ani wypowiedział, jaką już straszną karę ponosi, doznając wyrzutów sumienia, tylko padł dziadkowi do nóg i oblewając je łzami, rzekł:

— Zgrzeszyłem, zasmuciłem cię dziadku, ale ja winę odpokutuję. Już naznaczyłem sobie pokutę, nie wrócę tu, dopóki nie odpokutuję, dopóki nie naprawię wyrządzonej szkody.

Objął kochajacem, a takim smutnem spojrzeniem, tą biedną chatę, w której tak był szczęśliwy mimo, że w ostatnich dniach na biedę narzekał, uściskał Jagusię i wybiegł. Jakas gorączka go paliła.

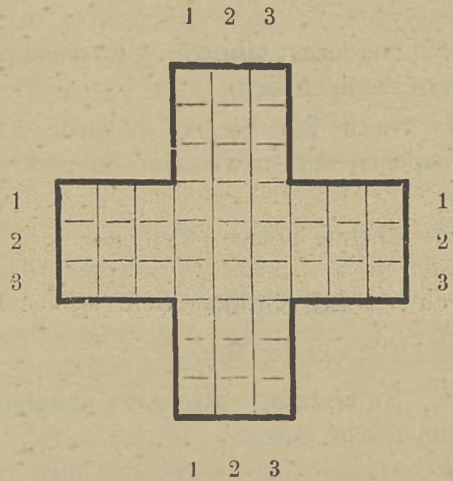
Prędzej, prędzej do czynu do pokuty, ani chwili dłużej we wsi, nie zostanie. Najpierw do dworu, później z płachtą do Janów, a później w świat, w świat szeroki. Za chlebem, za zarobkiem. Kto stracił dobre imię wśród swoich,

temu żyć smutno. Gdy zasłuży na przebaczenie dziadka, powróci. (d. c. n.)

Zadania i łamigłówek.

Krzyż geograficzny.

ul. Aes dla czytelników.



W kierunkach zarówno pionowych jak i poziomych oznaczonych liczbami 1—1, 2—2 i 3—3 umieścić należy trzy dziewięcioliterowe nazwy miast.

1) Miasteczko w gub. i pow. Kaliskim, pamiętne urzędzeniem księdza A. Kordeckiego; 2) Miasto powiatowe w gub. Łomżyńskiej; 3) Miasteczko nad rzeką Szeszupą.

Metagram.

ul. Edward Kalinowski.

Przez **L** służę do siedzenia
Przez **L** czynię spustoszenia
Przez **K** pijecie mię rano
Przez **J** noszę wyspy miano
Przez **S** jestem znaną rzeką
Przez **R** miastem niedaleko.

Zagadka ludowa.

podał Łomżanin.

W lesie ścięto,
W domu zgięto;
W stajni stało,
Ogon dało;
Wzięte na ręce
Dało życie piosence.

Rozwiązania do № 27-go.

Łamigłówek kielichowej: 1) Stopień. 2) Żmija. 3) Płock. 4) Potop. 5) Era. 6) H. 7) E. 8) Ale. 9) Palec. 10) Sulejów. Środkowe litery tych wyrazów składają nazwisko: Piotr Helle.

Figla rebusowego: A—mi—cis.

Szarady: Szpa—ra—gi.

Zamek Rapperswilski.

W dniu 25-ym czerwca r. b. w zamku Rapperswilskim w Szwajcaryi odbył się obchód czterechsetnej rocznicy urodzin Mikołaja Reja, wyprzedzając główny obchód tej samej rocznicy, zapowiedziany przez Akademię Umiejętności w Krakowie na grudzień.

Nie spodziewał się zapewne imć pan Mikołaj, którego młode lata tak barwnie i żywo opisuje w „Wieczorach“ Morawska, że aż w dalekiej Helwecyi za górami i lasami, w cztery wieki po jego urodzeniu, ludzie o nim pamiętać będą. Obchód składał się z trzech odczytów, wygłoszonych w językach francuskim, niemieckim i polskim, przez trzech profesorów wyższych uczelni szwajcarskich, wobec licznie zgromadzonej kolonii polskiej w Zurychu i zaproszonych cudzoziemców.

Ale nietylko imć pan Mikołaj, ale i wielu czytelników „Wieczorów“ zapyta może ze zdziwieniem, dlaczego w tym właśnie zamku szwajcarskim uczczono pamięć pisarza polskiego z XVI-go wieku. Należy się więc im słówko odpowiedzi.

W kantonie St. Gallen, na brzegu malowniczego jeziora Zurychskiego i w pobliżu miasta Zurychu wznosi się starożytny zamek Rapperswilski; wspaniale odbijają się jego baszty w kryształowym zwierciadle jeziora, lecz dawno już zamilkły rycerskie echa, które niegdyś brzmiały pod sklepieniem jego komnat. Przed 30-tu z górą laty nabył ten zamek Wiktor hr. Plater, lecz nie dla siebie, ale w innym zupełnie celu. Oto zapoczątkował on urządzenie w tym zamku Muzeum pamiątek polskich, które byłoby dostępne dla setek tysięcy podróżnych, zwiedzających Szwajcaryę i ułatwiało zaznajomienie cudzoziemców z literaturą, sztuką i historią naszego kraju.

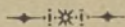
Muzeum to—szlachetny fundator zaopatrzył pewnym kapitałem i obecnie dzięki staraniom i zapobiegliwości komitetu muzealnego zawiera zamek ogromną bibliotekę polską, bardzo wiele cennych pamiątek i zabytków z rozmaitych epok. Nietylko Polacy, lecz i cudzoziemcy, przejeżdżający przez Zurych, nie omijają Rapperswilu i zwiedzają to cenne Muzeum, które z każdym rokiem powiększa swoje zbiory.

Dla tego więc w zamku Rapperswilskim nad kryształowym zwierciadłem alpejskiego jeziora obchodzą pamięć zasłużonych Polaków.

Ig. B.

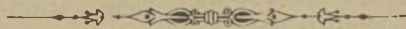


Wawrzyniec Zeal.



TALIZMAN WŁADZY.

Przekład M. G.



ROZDZIAŁ XXV.

Nieprzewidziane zakończenie.

W mgnieniu oka zawrzało wszystko na dziedzińcu świątyni: rozległy się kroki żołnierzy, biegnących na stanowiska, oderwane głosy komendy, i wrzawa żołnierskich głosów. A na zewnątrz, poza murem, nasze trąbki zagrały poraz drugi pobudkę...

Nagle do stóp Barbary padła drżąca postać starej kobiety, która przed chwilą stała majestatycznie wyprostowana... Cesarzowa wdowa została schwytana w pułapkę... Błagała nas o ratunek.

Numer Ósmy postawił ją na nogi i przyrzekł wyprowadzić z matni. Podniósł z ziemi luźną kapłańską szatę, porzuconą tam widocznie w popłochu ucieczki, i włożył ją na cesarzową.

— Chodźmy! — wyrzekł. — Jesteś moim sługą Naj. Pani, dopóki nie minie niebezpieczeństwo...

Wyszliśmy z pośpiechem. Chińskie wojsko stało już pod bronią i powitało nas radosnym okrzykiem, bo ludzie myśleli, że ich dawny generał objął nad nimi dowództwo. Ale *Numer Ósmy*, zawoławszy na bok oficera, zapytał o liczbę Anglików, poczem powiedział, że Chińczycy muszą się poddać, a on postara się dla nich o jak najlepsze warunki. Oficer widząc, że nie ma ratunku, zgodził się, lubo niechętnie.

Minęliśmy milczące szeregi Chińczyków, i wyszedłszy na drugi dziedziniec, zabraliśmy nasze konie, i skierowali się do wyjścia na przeciwnym końcu muru. Odsunęliśmy sztaby zamykające furtkę i wyszli przez obręb dziedzińca.

Pojawienie się kilku Europejczyków zadzi-

wiło niezmiernie strojnego, młodego oficera, dowodzącego oddziałem który miał właśnie ruszyć do szturmego gniazda chińskich kapłanów.

— A wy co tu robicie?! — zawołał. — Skąd się wzięli?

Numer Ósmy objaśnił go, że schronili się na chwilę do świątyni, z której pozwolono nam wyjść i zabrać z sobą służącego.

— Niema tam Bokserów? — zapytał niecierpliwie oficer.

— Jest tylko oddział regularnego chińskiego wojska — odrzekł *Numer Ósmy*.

— A jakim sposobem uszliście z życiem?

— Jesteśmy zakładnikami. Darowali nam życie w zamian za łaskawe warunki kapitulacji.

— Ta-a-a-k? — odrzekł przeciągle oficer... Zatem i my musimy puścić ich cało... Słowo angielskiego oficera! Ale szkoda, wielka szkoda, kiedy ich mamy w pułapce, że nie można ich wytłuc co do jednego! Zawsze tak bywa, gdy cywilni włączają się po okolicy i włączają tam gdzie niepotrzeba... Niech to będzie dla panów przestroga nadal... Miejsce i pora źle wybrane dla turystów — a tembardziej dla dam! — dodał, zwracając się do p. Barbary.

Oficerek był bardzo młody i wyraźnie rozdrażniony, że stracił tak dobrą sposobność do odznaczenia się, Basia uśmiechnęła się zmieszana, przyjmując w pokorze napomnienie.

— Im prędzej powrócicie do Pekinu, tem lepiej — powiedział oficer. — Wasz służący nie ma konia, a stąd do Pekinu jest dwanaście mil... Weźcie jednego konia z naszych. Nabraliśmy ich mnóstwo... Potrzebne nam są pod rzeczy, ale jednego, mogę zaofiarować, byleby wam ułatwić powrót w bezpieczne miejsce. Wasz służący jest już staruszek...

Cesarzowa wdowa wytrzymała spokojnie badawcze spojrzenie oficera. Przyprowadzono dla niej osiodłanego konia, na którego usiadła.

— Co zaś się tyczy tych, co są w świątyni — dodał oficer — daruję im życie, ale muszą złożyć broń i poddać się rewizji. Bo mam pewne dane — dodał zniżonym głosem, — że skryła się tu bardzo ważna osobistość... Jeżeli tam jest, to ją znajdzie...

— Jeżeli jest, to ją pan znajdziesz — powtórzył jak echo *Numer Ósmy*.

I odjechaliśmy. Po przebyciu pięciu lub sześciu mil, spotkaliśmy gromadkę chińskich włóścian, do których zasłonięta postać przemówiła rozkazująco. Byli to przebrani ludzie z orszaku cesarzowej wdowy, poszukujący jej, i zaniepokojeni jej nagłym zniknięciem.

Cesarzowa wdowa pożegnała się z nami. Widać było na niej głębokie strapienie po poniesionej klęsce, wobec niepewnych losów, jakie ją czekały w dalszej ucieczce. Sięgnęła ręką,

szukając jakiego klejnotu, by nim obdarzyć człowieka, który ocalił jej życie, ale wszystkie jej rzeczy i kosztowności zostały wysłane napróżd... Nie miała przy sobie nawet jednej sztuki srebra do podarowania... Zatrzymała się zmieszana i upokorzona.

I nagle przypomniała coś sobie. Spojrzała na rękę, w której trzymała ciągle talizman. Twarz jej rozjaśniła się...

Przywołała skinieniem naszego towarzysza i — wręczyła mu... *Talizman Władzy!* Poczem nie czekając, aż ochłoniemy ze zdziwienia, zawróciła konia i odjechała, a jej drobna, pochylona postać, otoczona orszakami dworzan przebranych za chłopów, znikła nam wkrótce z oczu.

— Powróci ona! Powróci! Zwycięży w końcu, i odzyska tron, na którym tyle lat zasiadała, i zadziwi jeszcze raz cały świat ucywilizowany!

Temi słowy *Numer Ósmy* oddał ostatni hołd sile woli i dzielności tej niepospolitej kobiety.

— A my zdobyliśmy nareszcie *Talizman Władzy!* — zawołałem z tryumfem, widząc, że nasza awanturnicza wyprawa zbliża się do końca.

— Teraz trzeba nam pospieszać — dodał *Numer Ósmy* i połączyć obie połowy talizmanu, rozłączone od wieków przez Tybetańczyków...

— A potem? — zapytałem.

— Potem? Ha! zobaczymy, czy się nam uda zawładnąć światem, dla jego szczęścia i spokoju! — odrzekł *Numer Ósmy* i zadumał się głęboko.

Dzień miał się już ku schyłkowi, kiedy wjeżdżaliśmy w bramy Pekinu. Tak nam było pilno, że przed dom zajechaliśmy galopem. Drzwi domu były otwarte! Zeskoczyliśmy z koni i weszli. Nie było nikogo... Gdzie się podział Kai-fong?

Numer Ósmy pobiegł prosto do drugiej sieni. Tam podniósł kamień w posadzce, pod którym ukazało się niewielkie zagłębienie. Zanurzył rękę — kryjówka była pusta!

— Talizman, który tu ukryłem, znikł! — wykrzyknął. Druga połowa znowu przepadła! Jeszcze raz przegraliśmy sprawę!...

Patrzyliśmy na siebie osłupiali. Nagle Barbara zawołała:

— To Kai-fong! Kai-fong ukradł.

Numer Ósmy machinalnie przeszukiwał ciągle skrytkę, w której złożył talizman. Nagle twarz jego ożywiła się: wyciągnął z jamy kawałek papieru, zapisany chińskimi literami. Zaczął czytać:

„Kai-fong przesyła pozdrowienia swemu panu. Zabrał on talizman z zielonego jaspisu, zwany „Bertem Świata“... I nie dostaniecie go już nigdy w swoje ręce. Kiedy to będziecie czytali, Kai-fong będzie już miał w swym posiadaniu

niu i drugą połowę talizmanu. Możecie więc odjechać swobodnie, nie macie już dla nas żadnego znaczenia, i ty, i ta ładna cudzoziemska dyablica, z którą twój głupi przyjaciel ma się żenić. Możecie jechać w spokoju, bo zdobyliśmy już, to czegośmy szukali. To jest ostatnie słowo Kai-fonga, z tajnego stowarzyszenia w Potala, przywódcy „Trzech“.

Zbaranieliśmy zupełnie, usłyszawszy treść listu.

— Kai-fong! Więc to był przywódca Trzech! — przemówił zwolna *Numer Ósmy*. — A myśmy go nie poznali! Przecież to był ten sam człowiek, który nas wciągnął w zasadzkę w Szanghaju, ten człowiek w okularach, który nas przyjął na dworcu kolei, któregośmy widzieli na dżonce... I ja nie poznałem go w przebraniu Kai-fonga!

— W każdym razie ocalił mi życie — powiedziała Barbara — i za to jestem mu wdzięczna!

— I ja uważam się za jego dłużnika! — dodałem gorąco.

— Ale i jego spotka niespodzianka — przemówił posępnie *Numer Ósmy*. — Po przybyciu do świątyni, przekona się, że byliśmy przeciwnikiem nie do pogardzenia... Zamieniliśmy się na nasze połowy talizmanu — i na tem koniec!

Wydobył z kieszeni dar, otrzymany z rąk Cesarzowej wdowy. Była to zupełnie taka sama puszka jak ta, którą otrzymałem z rąk Maorisa.

— Nikt dotąd nie widział tego talizmanu. Ale teraz, gdy druga jego połowa stracona jest dla nas na zawsze, musimy obejrzeć tę, która jest w naszych rękach...

— Ach! nie czyn tego! — zawołała Barbara z zabobonną trwogą. — Nie wiesz co cię może spotkać... Niczyje oczy nie oglądały tamtej połowy, którą mieliśmy, bo w tę świętość będzie mógł spojrzeć bezkarnie ten tylko, kto połączy obie jej połowy... Proszę nie otwierać tej puszeki! *Numer Ósmy* roześmiał się.

— Muszę — choćby tylko dla zaspokojenia ciekawości.

Nacisnął sprężynę, odskoczyło wieczko i..

We środku — nic nie było!

Skamienieliśmy po raz drugi ze zdumienia.

— Więc *Talizman Władzy* wcale nie istnieje? — zawołał *Numer Ósmy*. — Pozostała tylko puszka, w której był schowany?!... Może go skradł jakiś świętokradca setki lat temu, i kapłani w świątyni trzymali straż przy pustej puszcze... I my goniliśmy za czczą marą!

— Ale *Trzej* zdobyli połowę talizmanu — zauważyłem — tę, którą Kai-fong wykradł..

— Puszkę — w której także nic nie ma! — przerwał *Numer Ósmy* z niezachwianą zimną krwią.

— Nic nie ma? — powtórzyłem za nim jak

echo, z niedowierzaniem. — Skąd wiesz o tem? Nie otwierałeś jej nigdy?

— Nie — ale zważyłem ją dziś rano...

Przypomniała mi się wtedy rozmowa jego z Barbarą, którą usłyszałem rankiem.

— Słyszałem jak mówiliście, że trzynaście uncji...

— A ta pusta puszka ile waży? — zagadnęła Barbara bardzo wzruszona.

— Zobaczymy. Jeśli ma tę samą wagę, będzie to niezbitym dowodem, że i tamta była próżna... Chodźmy!

Poszliśmy za nim w głąb domu. Wyjął z tłomoczka małe ważki i położył na nich puszczkę. Ważyła ściśle... trzynaście uncji!

— Niema już żadnej wątpliwości! — powiedział *Numer Ósmy* z posępnym uśmiechem. — *Talizman Władzy* znikł... Obie jego połowy zostały wykradzione — zapewne bardzo dawno... Gdzie są obecnie — któż może odgadnąć? A połączenie ich jest już teraz bardzo mało prawdopodobne. Poszukiwanie skończyło się na zawsze — dla nas i dla *Trzech* także... Skwitowaliśmy się z nimi — i my i oni zostaliśmy wyprowadzeni w pole!

W oczach tego niezłomnego człowieka zabłyśły łzy żalu. Basia szepnęła:

— Może to i lepiej... To, za czem goniliśmy tak uporczywie, ponosząc tyle ofiar — narażając życie swoje i innych ludzi — nie istnieje... Może to i lepiej... Kto wie czy wyszłoby na dobre światu, gdyby taka potęga dostała się w ludzkie ręce?

KONIEC.



ZE ŚWIATA.

Głosowanie w szkole. W północnej Ameryce, w stanie Nowojorskim, w miejscowości nazwanej Syrakuzy wprowadzano niezwykle system w szkołach męzkich i żeńskich.

Każdą szkołę uznano za małe miasto, w którym uczniowie są obywatelami i wybierają burmistrza, radcę miejskiego, członków magistratu oraz komisarzy.

Wszyscy powołani urzędnicy zbierają się raz na tydzień w celu wysłuchania skarg, sądzienia spraw i nakładania kar.

Gdy uczeń lub uczennica stawiają opór i nie chcą kary odsiedzieć, wówczas występują komisarze do pełnienia swych obowiązków i opornych łagodną przemocą osadzają w areszcie.

Kolej przez morze. Niezwykłą kolej żelazną przez morze postanowiono przeprowadzić w Ameryce, w celu połączenia miasta Miami na półwyspie Floryda z wyspą Key West, leżącą na połowie drogi między Florydą a Kubą, słynną przymem z wyrobu cygar.

Linia kolejowa początkowo będzie szła nadbrzeżem, a potem po mostach łączących niezliczoną ilość wysepek koralowych, które jak sznur ciągną się aż do Key-West.

Tor kolejowy wznosić się będzie na 28 stóp po nad powierzchnią morza, aby pod arkadami mostów mogły swobodnie przepływać statki.

Olbrzymi projekt. Według doniesień pism rosyjskich powstał projekt połączenia wodnego mórz, Bałtyckiego z Czarnem, za pomocą przekopania kanału między Dźwiną a Dnieprem.

Urzeczywistnienia projektu podejmuje się belgijski inżynier, hr. Gustaw Défoss, który na opracowanie projektu stracił przeszło 10 lat czasu i nadto zyskał poparcie ze strony kapitalistów, oddających do jego rozporządzenia w tym celu 1 miliard franków.

Długość kanału, podług projektu, wyniesie 1600 kilometrów. Kanał oświetlany będzie elektrycznością, skutkiem czego ruch będzie mógł trwać przez całą dobę. Na przejazd przez kanał potrzeba będzie 5 dni.

Nowy balon. Santoz Dumont, bogaty brazylijczyk stale zamieszkały w Paryżu, o którym pisaliśmy w swoim czasie, z powodu wybudowania balonu ze sterem, pracuje obecnie nad zbudowaniem statku powietrznego, w którym zostaną uwzględnione wszystkie dotychczas poczynione doświadczenia.

Kosz w najnowszym statku Dumonta zastąpiony został przez kajutę, urządzonej wygodnie, zamkniętą szczelnie i ogrzewaną, chroniącą od zimna i wilgoci, dokuczających aeronaucie w podróży wśród chmur.

Santos Dumont obiecuje sobie, że w tym nowym balonie będzie mógł spędzać całe tygodnie i zapowiada, że będzie to pierwsza w dziejach aeronautyki podróż „nad Europą” w całym tego słowa znaczeniu.

Program jej już jest nakreślony. Z Paryża bogaty Brazylijczyk uda się do Berlina, następnie poszybuje po nad Warszawą, zawróci, przepłynie nad Lwowem, Budapesztem, Wiedniem, skąd znów powróci do Paryża.

Podróż ta obliczona jest na dni pięć, a wykonana ma być bez zatrzymania się w żadnym z miast wymienionych.



ŻARCIKI,

Z myśli Jasia po zażyciu olejku.

— O tak, prawdę mówił pan profesor, daleko przyjemniej dawać niż otrzymywać!

W ogrodzie zoologicznym.

A. Mówiłeś zawsze, że wielbłąd ma jeden garb, a ten posiada aż dwa!

B. Widzisz, to musi być *garbaty* wielbłąd.

Tomcio. Proszę mamy, czy mogę urządzić zabawę, że niby przyjmuję miłego gościa.

Mama. Naturalnie, że możesz.

Tomcio. To proszę mamy o ciastka dla tego gościa.

Z ogłoszeń przedsiębiorcy pogrzebowego.

„Każdy, kto raz użyje dostawionej przeze mnie trumny, nigdy żadnych innych używać nie zechce.”



Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośzeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Z wystawy Maryańskiej (z ryc.) — Przygody Imię Pana Mikołaja, przez Z. Morawską. — O zachodzie (wiersz) przez Janinę Porazińską. — Gospodarstwo mrówek (z ryc.) — Król przestrzeni, przez J. Verne'a (z ryc.) — Zamek Rappelswilski (z ryc.) — Talizman władzy, przez Wawrzyńca Zeai'a (przekład M. G. — dokończenie) — Ze świata. — Zarciki. — **Dodatek:** Czarne jagody przez B. Buyno (z ryc.) — Poziomka (wiersz) przez Janinę Chlewicką. — Czarodziejski bór (obrazek) przez F. M. — Dzielną Jędrus, przez J. Piasecką. — Zadania i łamigłówki.

Redaktorka Ludwika Hauke. Wydawczyni Marya z Chomentowskich Balińska.

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Юля 1905 г.

W drukarni E. Szyllera, Nowy-Swiat 26.